

## *Kochana Mamo!*

W dniu imienin posyłam Mamie serdeczne powinszowania wszystkiego najlepszego. Może wysyłam kartkę cokolwiek zawczasu, ale nie wiem, jak długo będzie szedł list.

Tu jest dość ciepło, tak że nie mam nawet zamiaru zaziębiać się.

W miejscu, gdzie postawiłem krzyżyk, stanęła „Wirginia” (zobacz we wkładce – kartka z Dunkierki).

Całuję Mamusię i Babusię

(–) Zbyszek

*Cherbourg, 4 maja 1924*

## *Kochana Mamo!*

Od dawna już czekam na list od Mamy, ale wciąż doczekać się nie mogę. Ja wysłałem do Mamusi już parę pocztówek, przypuszczam, że Mamusia je odebrała. Na wszelki wypadek podaję Mamusi mój adres na końcu. Podróż do Cherbourga była dość ciekawa, wyjąwszy oczywiście przejazd „Wirginią” od Gdyni do Dunkierki. Niech Mamusia sobie wyobrazi w międzypokładziu łóżka ustawione w trzy piętra, tak nisko jedno nad drugim, że gdy na wyższe piętro ktoś się położy, to wskutek wyciągania się hamaka spoczywa właściwie na swym bliźnim z I piętra lub też z parteru. Łóżkami tymi jest zastawiona cała przestrzeń tak, że tylko luk jest prawie całkiem wolny. Na śniadanie dawano nam kawę i chleb, na obiad – kubeczek wina, łyżkę jakiejś burdy i ochłap z makaronem lub ryżem, na kolację to samo co i na obiad, wszystko podawano w naczyniach, w których w czasie pozaobiadowym załoga prała sobie skarpetki, koszule i inne części garderoby. Talerze nigdy nie były myte, tylko opłuknięte, tak że przed obiadem można było sądzić z resztek pozostałych na talerzu, co było na obiad (śniadanie), trochę

nas pobujało, więc mieliśmy przyjemność podziwiać rzygających emigrantów, którzy z okropnym szumem wyrzucali z siebie z trzeciego piętra wczorajszy obiad i kolację na głowy współlokatorów z drugiego i pierwszego piętra. Pierwsza stacja była w Dunkierce, druga w Arras, potem w Amiens, Rouen, gdzie oglądaliśmy starą katedrę z grobami rozmaitych kardynałów, królów i między innymi Ryszarda Lwie Serce i słynną figurę Joanny D'Artre (nie wiem, czy prawidłowo to piszę). Te dwie doby podróży sporo mnie kosztowały, gdyż nam, prócz bochenka chleba i kawałka kiełbasy surowej i w dodatku słojej jak pies, nic nie wyfasowali. Co i jak było w tych miastach, opowiem Mamusi osobiście, gdyż nie mam takiego talentu do opisywania moich wrażeń. Wreszcie po długich i ciężkich cierpieniach stanęliśmy w Cherbourgu o godzinie 12:00 w nocy z 2 na 3 maja. 3 i 4 mieliśmy święta, a dopiero potem zabraliśmy się do roboty. Ja żyję dobrze ze wszystkimi na statku, więc każdego ze mną chętnie pracuje. Najczęściej, bo przez cały prawie ten tydzień, pracuję na solingu położonym 46 metrów nad pokładem. Od pierwszego dnia czuję się tam bardzo dobrze, wcale mi się nie kręci w głowie. W ogóle czuję się tam wspaniale i praca tam bardzo mi się podoba. Mamy tu takiego drugiego kapitana Maciejewicza<sup>27</sup>, który przez nas jest pospolicie zwany „Macają”, wydziera się on od rana do nocy przez tubę, która bardzo przypomina rurę od samowara. Zdarzył tu się taki wypadek. Jeden z uczniów siedział na pokładzie i zwił linę w kółka, a tymczasem „Macaja” nastąpił mu z tyłu na linę tak, że ten nie mógł jej wyciągnąć, nie odwracając się więc, krzyknął: „Złaż

---

<sup>27</sup> Konstanty Maciejewicz (1890–1972) – kapitan żegluga wielkiej, legendarny „kapitan kapitanów” – bohater książki Marka Koszura. Urodzony w Niemirowie na Podolu. Ukończył Korpus Morski w Petersburgu. Komendant „Lwowa” (1927–1930) i „Daru Pomorza” (1930–1938), kierownik Wyszkożenia Specjalnego w Państwowej Szkole Morskiej (1938–1939), dyrektor Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni (1945–1947), organizator i dyrektor Państwowej Szkoły Morskiej w Szczecinie (1947–1953), kapitan statku szkolnego „Zew Morza”, inspektor Polskiego Rejestru Statków.

z linki gównu sobacze”, a „Macaja” na to: „Ty sam gównu sobacze”<sup>28</sup>, i poszedł sobie dalej.

Dziś trzech jegomości dostało karne roboty. Jeden wymył WC, drugi umywalnie, a trzeci oczyścił dzwon, co wcale do przyjemnych rzeczy nie należy. Wszystko tylko za to, że spóźnili się na zbiórkę.

Ja czuję się zupełnie dobrze, zdrow jestem zupełnie, tem bardziej że karmią nas tu dobrze, tylko nazbyt rzadko, mianowicie o 7:00 śniadanie, o 12:00 obiad i o 17:00 kolacja, poczem można wyjść na miasto do 22:00 wieczorem.

Tu można dość tanio kupić niektóre rzeczy, np.: ręczniki włochate za tuzin 64 franki, eleganckie kamasze 60–75 franków, koszula z gorsem 12–16 franków, śliczna torebka damska z ciśnionej<sup>29</sup> skóry 40–60 franków, kupon na kostium 300 franków, to jest bardzo dobry materiał, za tyleż można dostać przyzwoity garnitur gotowy, tańsze są po 90–100 franków, męski kapelusz filcowy 25–40 franków, damski 40 i więcej. Za to życie jest dosyć drogie: obiad 10 franków, a ja, żeby się trochę najeść, musiałem zjadać cały, gdyż ten taki obiad francuski równa się jednej trzeciej obiadu szkolnego. To już wszystko, co mogę napisać o sobie (i o cenach w Cherbourgu), zakończę więc na tem, prosząc Mamusię, by mi jak najprędzej odpisała.

Całuję Mamusię i Babusię, kochający

(–) Zbyszek

Adres mój:

Francja Cherbourg Base navale polonaise vaisseau-école polonais „Lwów” WP. Z. Piekarski.

PS Ukłony Bankowcom, Jagusi i Pelci. Pannie Waci szczególne ukłony. Niech się raz ucieszy! Co tam!

*Cherbourg, 10 maja 1924*

<sup>28</sup> W oryginale cyrylicą.

<sup>29</sup> Tu chodzi o skórę tłoczoną.